

KAZIMIERA ALBERTI.

Strach przed śmiercią

2

Marek stał długo na pustym pokładzie.

Kto jestem? To jest rzeczywiście pytanie! Kto jestem?

Na parę minut przed wylądowaniem zobaczył ją znów w tłumie. Odwróciła oczy. Zachybotały czarne rzęsy.

Gdy cielsko „Columbusa” zamknął olbrzymi hangar, Marek przedarł się do niej przez tłum.

— Gdzie pani mieszka w Nowym Jorku? — Jakie jest pani lotnisko?

— V. M 784 — odpowiedziała bez oddechu prawie.

— Dziękuję! — ogarnął ją skrzydłem spojrzenia.

Za chwilę:

— Jeszcze jedno: jakie pani imię?

— Arma! — zadygotała.

— Arma — — —

Rozdzielił ich tłum.

VII.

Była niedziela.

W fabrycznych kolosach i domach handlowych zamarło życie. Pracowały tylko centrale, ale przy zmniejszonej do minimum obsłudze ludzkiej. Płuca maszyn odpoczywały w ten siódmy dzień w tygodniu.

Ulubione korso powietrzne nad dzielnicą 40, roło się od jedno i kilku-osobowych aero-aut od omnibusów i statków.

Wieczór, który nadszedł skądś z wysokich, ciemniejących chmur zalał cały przestwór gęstą, nieprzeniknącą sepią.

W tej chwili w dole ożył Gigant. Z paszczy buchnął wielki, spokojny ocean blasku. Oślepiły tylko na ten dzień fabryki, składy i magazyny. Białe morze blasków urągało naturalnemu światłu dnia.

Oto w powietrzu kołysał się dumny z siebie, uśmiechnięty i zadowolony ujarzmiel żywiołów, spoglądając na spokojnie i posłusznie rozciągniętego u jego stóp Giganta.

W górze dotychczas było ciemno. Nagle tyśiączne groty przedarły przestworze.

Zatańczyły różnokolorowe lampjony oświetlone od wewnątrz olbrzymimi gruszkami zimnego światła. Krzyżowały się indygo gwiazdy z cynobrowymi sercami, miały się, płynęły, chwiały różowo-cieliste elipsy, kwadry bursztynowych księżyców, karminowe koła, rdzawo-zielone trójkąty, połyskujące barwą lapis-lazuli, trapezoidy.

Rozpoczęła się dziwaczna maskarada. Przepląwały aeroauta przekształcone w gryfy, smoki i ptaki. Przemykały białe mleczne mewy z rozpostartymi płatkami skrzydeł i chyże jaskółki, płynęły wolno ociężałe łabędzie, sterowały pawie, połyskując jaskrawymi ogonami, powietrze zawirowało od lotu, od pędu, od śmiechu.

Maskarada była dzisiaj urozmaicona korsem kwiatowem. Aeroauta i omnibusey tonęły w zieleni i fantastycznej gęstwie kwiatów, które były we wszystkich możliwych barwach, czarne, zielone, niebieskie i mieniające się wszystkimi odcieniami tęczy, wielkości ludzkiej głowy, białe siklawy storczyków, rdzawe warkocze lilij, orchidee, kiścienie akantu.

Marek Chevreuil wyminął szybko gryfy, smoki, lampjony, kwiaty, całą maskaradę i obrał kierunek zachodni.

Rozłożył plan lotnisk i chwilę patrzył na kartę.

Za parę minut zahaustały się pod nim zielone sygnały dzielnicowego dworca 189.

Obniżył aeroauto.

Leciał tuż nad lotniskami prywatnych domów i will.

Pilnie przeszukiwał numery.

Nisko — w dole — jakby w otchłani, zawirowały płasko ułożone, czerwone ognie cyfr: V. M. 784.

Ogarnęła go niewytłomaczona radość. Jak wówczas, kiedy na „Columbusie” — już w Paryżu — usłyszał te cyfry z ust Army.

Szybko wchodził do salonu.

Przywitał go ruch czarnych rzęs.

Taka sama! — pomyślał Marek.

Nagle otwarła się przed nim czarna — bez dna i bez brzegów — czeluść.

Nu niskim taburecie siedział — Nilmani Kundu. Oczy Hindusa przeniknęły do głębi postać wchodzącego.

Zamarło w nim serce na pięć oddechów, a teraz na trzy oddechy.

Zmierzyli się — ale nie oczami. Wielkością

duchów. Poczuli się przeciwnymi biegunami, których nigdy — przenigdy! — żadna technika, żaden wysiłek ludzkiej woli, nie zbliży do siebie.

— Marek Chevreuil, malarz — powiedziała Arma, a słowa te spadły jak ciche krople deszczu. Marek skłonił się w milczeniu.

— Pan nie był u mnie nigdy! — przerwał ciszę jakby smutny szelest głosu Nilmani Kundu.

— Nie! I nie będę! — wyrzucił z siebie ciężkie jak grudy ołowiu słowa.

— Czy pan pamięta wszystkie twarze, które się przed panem, przez te długie lata przesunęły? — przerwała Arma.

— Wszystkie.

Hindus zamyślił się. — Potem wstał. Łagodnym spojrzeniem objął Marka.

— Niech pan przyjdzie do mnie! Gdy się pan dowie, będzie panu lżej żyć! — rzucił promienie słów.

— Nigdy do pana nie przyjdę! — wybuchnął Marek.

Postać Hindusa zniknęła w drzwiach — ale jeszcze długo w powietrzu kołysała się po nim jakaś nieuchwytna smuga.

Arma i Marek milczeli.

— Pani się nie boi śmierci? — rzucił po długiej chwili.

— Nikt — kto był u Nilmani Kundu, nie boi się śmierci — odpowiedziała dumnie. — Nie bałabym się i wówczas — gdyby nie w roku 2195 — ale wcześniej z jakichś nieprzewidzianych powodów zaskoczyła mnie. Ale czyż jest to możliwe? Od czasów wystąpienia tego genialnego Hindusa samobójstwa, prawie, że nie zdarzają się. Było wprawdzie kilkanaście — ale ja sobie życia nie odbiorę.

Z całą pewnością — uśmiechnęła się — coś może się stać nieprzewidzianego? Nikt mnie przecież nie zamorduje. Odkąd tak łatwo o pracę — odkąd państwa wzięły na swoje barki ciężar utrzymania tych nielicznych niezdolnych do pracy — odkąd duch w ludziach stał się lepszy — nikt niema powodu obawiać się o swoje życie. A katastrofy? Technika naszego wieku zapobiega im przecie w zupełności. Nie boję się śmierci panie Chevreuil. Bestja już w ludziach dawno zamarała. Umrę śmiercią naturalną. Rok 2195, październik, dwudziesty ósmy. Oto moja data. Zrzucę wówczas życie lekko, bez żalu — jak suknię balową.

— To jest jakaś szaleńcza sugestia. To jest niemożliwość. Każdy w duchu drży przed śmiercią. Każdy się korze przed jej wszechwładną potęgą. Ten Hindus zdołał przeniknąć tylko koniec zwapnienia komórek — ale śmierci nigdy nie przeżyje. — Nigdy! Nigdy! — krzyczał Marek. — Zmechanizowaliście wszystko. Macie telewizatory, radja, zimne promienie, platynowe domy — wszystko się wam posłusznie ułożyło u nóg jedna śmierć pozostała niewzruszona. Jedna zagadka, której żadna elektryka nie rozwiąże. Jedna władza przed którą każdy schyli głowę. Jedna siła, która w jakimś dniu o jakiejś godzinie położy zimną lodowatą rękę na waszym sercu i weźmie je jak swoje. Zmechanizujecie wszystko, wszystko, zaludnicie bieguny, zwiększycie szybkość elektrycznej kolejki na Mont Everest, unieszkodliwicie wulkany, zapobiegniecie trzęsieniu ziemi, zbadaćcie cały wszechświat, może nawet utworzyć stały kontakt z innymi planetami, ale śmierci nie przemożecie nigdy — Przenigdy!

I pośmiertnego życia ducha także nie zbadaćcie. Także, także. Oto dwie zagadki, które po ostatni ludzki oddech, po ostatni szelest krwi, zagadkami zostaną. Oto dwie potęgi, które wskazują na to, że nie wy nakręcacie świat, nie wasze radja, promienie i automatyczne guziki nie wy wyznaczacie bieg słońca ziemi i wszystkim planetom — nie wasza centrala zapala wschody i przedwieczorne łuny. — Nie wy! Nie wy! Jest ktoś nad wami inny — jeszcze wyżej, niż zdołają sięgnąć wasi szaleńcy z zapasem tlenu w aparatach — z maskami na zuchwałych twarzach, miliony razy wyżej od waszego Mont Everest, Aconcagua, Mont Mac Kinley. Jest ktoś, kto dotarł głębiej niż wasi nurkowie, kto przeniknął aż do ostatniego włókna dna oceanu, ktoś kto zna każdą perłę, każdy krzak koralu i każde żyjątko. Wasze świdy przedarły ziemię, pokrajały, poraniły — ale do jądra nie dotarły nigdy. I nie dotrą. Nie dotrą. Ktoś zmierzł swoimi rozumem jeszcze głębsze otchłanie — ktoś na tym jądrze położył wszechmogącą rękę.

Marek przestał. Jego oczy rzuciły błyskawice. Ciężko oddychał. Po brodzie sączyła się wstążka piany. Znowu zerwał się z taburetu.

— Kto jest Nilmani Kundu? — krzyczał. — Pyłek we wszechświecie. Ile kropel ma morze? — On jest kroplą tylko! Garstką gliny. — Dwoma przygarściami prochu! Robakiem świętojańskim! Co on może wiedzieć ten Hindus? — Zbadał tylko

komórki — precyzyjnie i szybko oblicza, długość ich trwania. A duch? — A ludzki duch niesmiertelny? Mędrzy od waszych mózgów i rąk? A co duch? — krzyczał Marek.

Kto jest Nilmani Kundu? — Liść na olbrzymim drzewie ludzkości, który zdmuchną usta śmierci. A drzewo odrasta — puszczają nowe pędy, nowe liście — tętnią świeże soki, cieczy z nacięć dojrzała żywica — co on wie o tem? Nilmani Kundu? Czy pomyślał kiedy — on zajęty li tylko badaniem trwałości ludzkich komórek — że ktoś to drzewo we wszechświat wszczepił, że się rozrastało, że czyjaś myśl podlewała to drzewo troską? Co on wie o tem, że były już jakieś światy i wszechświaty i powoli zapadały w bezdnie. Że z nicości wywołane planety znów kładły się cicho w nicość?

Co on wie o tem Nilmani Kundu. Jego umysł jest tak mały jak najmniejsza muszla wyrzucona na brzeg hukiem i grzmotem oceanu. Jego siła jest taka nikła jak powiew, który nawet dojrzałego nie strąci z drzewa owocu. Jego oczy są ślepe jak zagaśnięte rudy gwiazdy.

Marek dyszał ciężko. Nie mógł już dalej mówić.

Arma owinęła dłońmi skronie.

— Kto jesteś? — spadł szelest jej głosu.

— Jestem tak samo jak Nilmani Kundu garstką gliny. Dwoma przygarściami prochu. I choć myśl chciałaby sięgnąć daleko, choć tęsknota przebieje błękity. — *Jestem tylko człowiekiem.*

I ty jesteś tylko człowiekiem. I on. — I oni. — I tamci. — I ci co pomarli. — I ci co się urodzą. I ów, który dziwytem o kamiennym ostrzu w dziewiczym ostępie boru na zwierza się zamierzał, na ogniu piekąc zdobycz — i ten, który jeszcze za tysiąclecie przyjdzie i będzie wytwarzał sztuczny deszcz i zaludniał bieguny.

Marek zamilkł. W salonie panowała cisza przezywana jego świszczącym oddechem.

Długo tak siedzieli. Arma wyglądała przez okno. Miliony oczu Giganta oślepiły — były tylko czerwone ognie lotnisk prywatnych i zielone dzielnicowych dworców.

— Chciałbym zrobić pani portret — zmęczonym głosem wypowiedział Marek.

— W naszym wieku portret? — zdziwiła się Arma — ktoś robi teraz portrety? Czyż nie szkoda czasu? Artystyczne płyty fotograficzne lepiej się wywiązują z tego zadania.

— Ale ja zrobię pani portret. Numer mojego lotniska XII. D. 303.

Zastoniła oczy chybotem rzęs.

W powietrzu było już prawie pusto, gdy Marek wracał do domu. — Przemykały ostatnie spóźnione aeroauta — a wyższym szlakiem ciągnął jasno oświetlony kolos z flagami Stanów Europejskich: białe-zielone paski, w lewym rogu niebieski kwadrat, zasypyany białymi gwiazdami.

— Skąd się wziął u niej Nilmani Kundu? — myślał.

VIII.

Jakaś nieodparta siła ciągnęła Arme do pracowni Marka Chevreuila.

Przymykała oczy i z upojeniem powtarzała numer jego lotniska:

— XII. D. 303. — XII. D. 303.

Minęło parę dni. Arme objęły kleszcze niesamowitego niepokoju. Myślała o Marku — o tem wszystkim co mówił. Myślała o człowieku, który wielbił Boga, jego niewzruszoną potęgę, jego szanowane przez bieg tysiącleci prawa.

Dzień zmierzchał się. Szary popiół mroku sypał się z wysoko zawieszonych obłoków i gęstniał. Arma ubrała się w najpiękniejszą suknię i wyjechała z domu.

Korso nad dzielnicą 40 nie było jeszcze takie rojne jak zwykle o dziewiątej wieczór.

Myślała o Nilmani Kundu. Jakże zbłądził w jej oczach po tem, co mówił Marek.

Wylądowała na lotnisku XII. D. 303.

Uśmiechnięta wchodziła do pracowni Marka.

— Nie wiem jak to się dzieje, że ulegam pana kaprysowi! Malować czyjś portret! Tak zupełnie zwrócić się do przeszłości! — zakłósały się ciche zdania.

— Arma! Arma! — zachrypiał głos Marka.

Stali naprzeciw siebie, wpatrzeni aż do głębi dusz.

— To wszystko, co pan mówił u mnie w niedzielę wieczór — jest takie dawne — a mimo to wielkie. Powinien pan iść przez świat i jeszcze raz głosić wielkość Boga. Jak ci dawni, zamierzchli ludzie! Porwał by pan tłumy!

— Wielkości tej nie trzeba głosić — odpowiedział dumnie Marek. — Ona sama się głosi! I wszyscy padamy przed nią w proch, choć może o tem nie wiemy — choć może się tego zapieramy — chociaż może przeczymy całem swoim